Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Zlp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Środa 23 Maja | N^{ER} 1. | 1838 Roku.

PODRÓŻ

Okręty! okręty! doświadczę was na Oceanie! przekonam się, jak zasłaniacie tych, którzy się waszéj poruczają wierności, jak dochodzicie do zamierzonego celu! Jeden odbija od przystani, i rozléwa po świecie dostatek wszystkiego, inny obciążony bogatą zdobyczą znow ujrzał brzegi rodzinne; ale ty, wyobraźni moja, gdzie pójdziesz?..

(*Old Poem.*)

Kiedy Amerykanin przedsiębierze zwiédzić Europę, długa przeprawa, którą przebyć musi, jest przewybornem dla niego przygotowaniem. Oddalenie się na czas niejaki od zatrudnień i widoków lądu, szczególniéjszym sposobem umysł jego do przyjmowania żywych i nowych wrażeń przyspasabia. Rozległa przestrzeń morza, która dwa światy rozdziéla, jest jakby czysta karta w księdze żywota ludzkiego; niéma tu stopniowanego przejścia, przez które, jak w Europie, rysy i charaktery sąsiednich narodów zléwają się prawie niepostrzeżnie. Od chwili, w któréj ziemia opuszczona, przed twojém okiem zniknęła, nim nie sięgniesz brzegów przeciwnych, nim się znowu nie rzucisz w odmęt i śród nowości innego świata, imaginacya twoja spoczywa. Gdy przebiegasz ziemię, ciągłe następstwo osób widzianych, nieprzerwane pasmo zdarzeń napełnia historyą życia i osłabia skutek nieobecności i rozłąki. Ciągniemy wprawdzie za sobą łańcuch, który się w miarę oddalenia przedłuża; lecz ten łańcuch nie jest rozjęty, idąc za każdém ogniwem możemy powracać śladem naszym, i czujemy, że ostatni pierścień jego przywiązuje nas zawsze do ojczyzny. Ale w przeciągłéj podróży na morzu, jesteśmy od wszystkiego oderwani. Czujemy wtedy, żeśmy spokojną i bezpieczną

życia ludzkiego przystań opuścili i płyniemy, może być zbłąkani, ku światu nieznanemu. Między nami i ziemią naszą nie urojona, ale rzeczywista otchłań, podległa burzom, smutne widowisko strachów i opamiętania, czyni odległość pewną, a powrót wątpliwy. Takie było położenie, w którém się znajdywałem. Skorom tylko ujrzał niknące, jak obłok widnokręgu, modrawe góry mojéj ojczyzny, zdało mi się, żem zamknął jednę księgę świata i jego obrazów, i że to czas rospamiętywania, nim drugą otworzę. Myśliłem o ziemi, która wszystko, com tylko miał najdroższego zawiérając, kryje się przed mémi oczyma; wystawiałem sobie przemiany, jakich doświadczyć miałem, rozmaite wypadki, jakie wstrząsnąć mogą mém życiem, nie zdarzy mi się ujrzéć rodzinną krainę. Kto się puszcza w niepewną drogę, możeż powiedziéć, gdzie go bieg szybki jego przeznaczeń uniesie? możeż powiedziéć o dniu swojego powrotu? i czy los mu ujrzéć jeszcze dozwoli najmilsze lat dziecinnych miejsca? Rzekłem już, że na morzu wszystko było dla wyobraźni spokojném wytchnieniem. Lecz powinienem poprawić to wyrażenie i określić dla tego, który się lubi zastanawiać i zagłębiać w swoje marzenia. Morze, mnóstwo mu przedmiotów do rozwagi przedstawia; lecz są to cuda przepaści, przestrzeni: i te dziwy odwodzą jeszcze bardziéj umysł od sceny świata. Lubiłem się zwiesić na moście okrętowym, albo wstąpić na drabinę podczas ciszy i marzyć całe godziny. W dniu pogodnym przeglądałem z uniesieniem na spokojnéj powiérzchni morza te długie zwoje pasma obłoków, które się na widnokręgu przesuwały; wyobraźnia moja czyniła je królestwy zaczarowanémi i zaludniała istotami, których sam byłem twórcą. Śledziłem z zachwyceniem igranie morza, które podnosiło swe srébrzyste góry jakby na to, aby szły skonać na nieszczęśliwych jego pobrzeżach. Miészanina bezpieczeństwa i obawy, z jaką z wysokości wyniosłego masztu rozpatrywałem, ogromne wyskoki potworów oceanu, sprawiały mi przyjemne wzruszenia. Mnóstwo delfinów pływało około przodu okrętowego, potężny wieloryb wynosił

powoli swój niekształtny ogrom nad powiérzchnią wody, a żarłoczne psy morskie rzucając się w głąb modréj topieli, jak mara niknęły. Wyobraźnia moja, chciała wywołać wszystkie przypomnienia tego, co czytać lub słyszéć o państwie wód mogła; chciała przeprowadzić przed sobą te stada morskie, które się po nieprzejrzanych błąkają dolinach, potwory ukryte w przepaściach odmętu, i te tworzydła dzikie, które napełniają powieści rybaków, i nieszczęśliwego żeglarza.

Niekiedy okręt daleki, posuwający się na przestworze oceanu, dawał mi inny powód do rozwagi. Ileż jest zajmującym ten odłomek świata, który się śpieszy połączyć z wielką massą bytu wspólnego! Jak sławny pomnik przemysłu człowieka, wynalazek, którym potrafił nad wściekłością wiatrów i fal tryumfować, zespolił razem wszystkie końce ziemi, otworzył dobrodziéjstwo zamiany, przeniosł w bezpłodne północy krainy cały zbytek południa, rozlał światło nauki i skarby uobyczajenia; połączył nakoniec odrośle rodzaju ludzkiego, między którémi przyrodzenie zdawało się położyć nieprzebrnioną przegrodę!

Dnia jednego ujrzeliśmy, iż cóś w niejakiém od nas oddaleniu pływało; na morzu ściąga na siebie uwagę wszystko co tylko rozrywa jednostajność niezmierzonego przestworu, jakim zewsząd otoczeni jesteśmy. Poznaliśmy, że to był maszt okrętu bezwątpienia pochłoniętego, ponieważ jeszcze rospoznać można było reszty chustek, którémi żeglujący chcieli się przywiązać do niego, aby się nie pogrążyć w bałwanach; żaden znak niémógł nas o imieniu okrętu nauczyć. Upłynęło zapewne wiele miesięcy od rozbicia się jego. Łuski ryb i ziela morskie nabrały się dokoła. Mówiłem sam do siebie: co się stało z drużyną okrętową? Nieszczęśliwi, walczyli długo przeciw boleściom zgonu, poszli w bezdno morza śród ryczącéj burzy, i kości ich zbielałe odpoczywają w grobach niewidomych! Wały, które ich pokrywają, pieczęć wiecznego milczenia i niepamięci na nich położyły; nikt nie będzie mógł nigdy rozpowiedziéć historyi ich śmierci! Ileż oni westchnień wydali do tego okrętu! Ile życzeń obrócili do ognisk domowych! Ile razy kochanka, żona, matka, biegły słuchać chciwie nowości

dniowych, aby się dowiedziéć o losie tego nieszczęśliwego okrętu! O jak szybkie przejście z nadziei do niespokojności, z niespokojności do obawy, z obawy do rozpaczy! Niestety! żadna wieść nie pocieszy miłości: to tylko mogą wiedziéć, że okręt odpłynął od brzegu, i że o nim nic już więcéj niesłyszano!

Widok ów smutny dał miejsce, jak zazwyczaj, wielu tragicznym powieściom. Skłaniało nas do tego nadewszystko położenie, w któremeśmy się znajdowali. Było to pod koniec dnia, i niebo, które dotąd bardzo było czyste, przybrało wkrótce pozór straszny i grożący, i kazało nam się spodziéwać nagłéj burzy, jakie niekiedy w lecie miészają czas pogodny podróży. Siedzieliśmy w wielkiéj izbie około lampy, któréj blade światło czyniło ciemność jeszcze bardziéj przerażającą, wszyscy opowiadali powieści o rozbiciach morskich. Najwięcéj zastanowiła mię następna, opowiadana przez kapitana okrętu.

«Gdym,» powiadał on: «na pięknym, gruntownie zbudowanym okręcie, żeglował blisko odsepów Nowéj Zemli; chmury gęste, które się w tamtych zwykle zbiérają stronach, przeszkadzały nam zupełnie, nawet śród dnia, widziéć opodal; a w nocy tak było ciemno, żeśmy w odległości dwa razy jak długość okrętu, nié mogli rozróżniać przedmiotów. Kazałem wystawić latarnie na maszt przodowy, i postawiłem straż na czole okrętu, dla uważania statków rybackich pływających zwyczajnie około tamtejszych odsepów. Wiatr był silny, okręt prół szybko morze; wnet warta zawoła: oto statek! Ledwie to rzekła, i jużeśmy byli nad statkiem. Był to maléńki bacik, na kotwicy bokiem przeciw nam stojący. Czeladź usnęła i zaniedbała na nim wystawić światła. Uderzeliśmy weń w sam środek. Gwałtowność uderzenia, ciężar naszego okrętu, zatopiły go; przeszliśmy przez wiérzch pędząc w swym biegu. Ponieważ rozbicie się zaszło pod nami, spostrzegłem dwóch albo trzech nieszczęśliwych wpół nagich wyskakujących z komnaty: wybiégali z łoża na to tylko, ażeby ich fale pochłonęły! Słyszałem ich głuche jęczenia z szumem wiatrów zmiészane. Lecz tenże wiatr, który nam je przyniosł, nie dał téż wkrótce ich słyszéć. Nie zapomnę nigdy tych

przerażających krzyków; przeszedł jakiś czas, nimeśmy mogli skierować okręt ku owemu miejscu, tak nasz pęd był szybki. Powróciliśmy jak można najrychléj na piaski, gdzie bacik był zarzucił kotwicę. Krzyżowaliśmy godziny całe śród mgły ciemnéj. Strzélaliśmy z armat, nadstawując czujnie ucha, czy nie usłyszymy krzyku pozostałych jeszcze przy życiu. Lecz głuche milczenie panowało dokoła. Niesłyszeliśmy nigdy ani słowa o rozbitych.»

Wyznam, że te powieści bieg moich pięknych marzeń przerwały. Burza wzmagała się z nocą. Morze wiatrem przewracane, tocząc się po sobie samém, wznosiło się w spiénione góry i dawało słyszéć okropne ryczenia wyrzucając potworne bałwany: niekiedy tłumy chmur czarnych przebiégające ponad naszémi głowami, zdawały się być rozdziérane błyskawicą; która przelatując rozgniéwane wały, ciemność jeszcze okropniéjszą czyniła. Piorun huczał nad straszną przepaścią odmętów, i echa jego powtórzone przez skupione fale przedłużały łoskot ponury. Widząc okręt wrzucony między fale, za cud to miałem, że mógł odzyskać równowagę i oprzéć się pomimo swojéj lekkości. Reje ciągnęły się po morzu, a przód był prawie cały w wodzie pogrzony. Często się zdawało, że wir nas pochłonie, lecz stérnik zręcznym obrotem potrafił zawsze uniknąć strasznego uderzenia.

Poszedłem do mojéj izby, a ów widok przerażający i tam mię prześladował. Świst wiatrów gwiżdżących przez liny, rozlégał się jak pogrzebowe jęczenia. Skrzyp zdruzgotanych masztów, i stęki balas okrętowych strachem mię napełniały. Okręt uszkodzony był mocno; słyszałem fale, które ryczały mi w uszach, rozbryzgiwając się o boki okrętu: możnaby rzéc, że śmierć we wściekłości przeciw temu pływającemu więzieniu puszczona, szukała swojéj zdobyczy; jeden gwóźd wyrwany, jedno małe spojenie rozbite, mogłoby jéj wchód do okrętu otworzyć.

Z tém wszystkiém dzień jasny, morze spokojne, wiatr pomyślny, rozpędziły nieba zwem smutne rozwagi. Będąc na morzu, oprzéć się niémożna szczęśliwemu wpływowi pięknéj pogody i przychyl-

nego wiatru. Kiedy łagodny zefir ozdobne żagle nadyma, o jakże okręt rozcinający zlekka igrających wód łono, ukazuje się pięknym i wspaniałym! Zdaje się bydź panem morza.

Cały tom mógłbym napełnić marzeniami w jakie mię podróż owa wprawiała; bo zemną prawie wszystko jest ciągłém marzeniem; lecz czas już przybić do brzegu. W przepyszny ranek, gdy słońce mile świéciło, dał się słyszéć z wiérzchołka masztu przodowego krzyk przenikający: *Ziemia! ziemia!* Ci tylko, którzy sami doznali, mogą wyobrazić sobie roskoszne wzruszenia, jakie unoszą serce Amerykanina, gdy piérwszy raz Europa oczom się jego ukaże. Na samo to imie, myśli skupiają się tłumem. Ziemia to obiecana, ziemia urodzajna, która wydaje wszystkie płody, którémi się wiek dziecinny karmi, i które dostarczają pilniéjszym latom młodości wątek ważnego myślenia.

Od téj chwili aż do naszego przybycia, widne były tylko na naszym korabiu niepowściągliwe uniesienia radości. Ogromne okręty wojenne strzegące brzegów; róg Irlandyi odbijający się w morzu; góry krainy Wallii, których wiérzchołki nikną w obłokach; wszystkie te obrazy najżywszy interes wzbudzały. Jakeśmy tylko bieg zwrócili na Marsej, odkryłem przez teleskop brzegi. Oczy się moje wlepiły z urojeniem na te wiejskie chaty, gdzie taka czystość panuje; na plantacye krzewiów tak dobrze uprawiane, i owe zielone trawniki. Spostrzegłem rozwaliny opactwa bluszczem uwieńczone i wieżę wiejskiego kościoła, który się wznosił na wierzchołku pobliskiego wzgórza. Owoż rysy charakterystyczne Anglii.

Wahanie się morza i wiatr były tak pomyślne, że okręt mógł prosto do przystani zawinąć. Brzég był licznym ludem pokryty: jedni się zebrali przez samą ciekawość, drudzy oczekiwali niecierpliwie krewnych albo przyjacioł. Rozpoznać mógłem między tłumem kupca, dla którego ów był przeznaczony. Czoło zasępione, twarz zadumana, łatwo go dawały rozeznać: ręce miał w kieszeniach, gwizdał jak człowiek rostargniony, przechadzał się tu i owdzie po małéj przestrzeni, któréj mu tłum ustąpił na cześć jego chwilo-

wéj ważności. Z drugiéj strony, wołania z okrętu odpowiadały wołaniom z brzegu. Przyjaciele, którzy się rozpoznawali, posyłali sobie pocałunki wzajemne. Zastanowiłem się szczególniéj nad jedną młodą kobiétą, przybraną po prostu, lecz interesującéj postawy. Oczy jéj jakby przykute do okrętu, szły za nim w miarę przybliżania się jego do lądu, chciwie oglądać przedmiot sobie pożądany. Zdawała się bydź żywo poruszona. Usłyszałem głos słaby, który ją zwał po imieniu: był to głos biédnego majtka, który chorując podczas całéj przeprawy wzbudzał litość podróżujących. Kiedy czas był pogodny, towarzysze jego rozściéłali mu matę na moście okrętowym w cieniu; lecz od kilku dni choroba tak się wzmogła, iż nié mógł porzucać swojego łoża, żądając tylko oglądać żonę przed śmiercią. Gdyśmy wpłynęli w rzékę, wyprowadzono go na pokład: zwiesił się na sznurach masztowych, ale tak był zmiéniony, tak chudy i blady, iż nie dziw że go samo nawet oko miłości rozpoznać nié mogło. Jednak na dźwięk głosu jego, zwróciła się żywo małżonka ku niemu; tysiączne boleści przeszyły jéj serce. Krzyk jéj niesilny skonał na ustach, wyciągnęła ramiona z konwulsyjném poruszeniem, i w takiéj postawie, jakby w nieméм okamiénieniu została.

Tymczasem wszystko się kupi, wszystko potrąca. Tu widzisz znajomych, którzy się spotykają; tu przyjacioł, którzy się ściskają; daléj kupcy mówią o swoich spekulacyach. Ale ja jestem samotny, nié mam przyjaciela, którzyby wyszedł na moje spotkanie; ja jeden nie jestem tu przyjęty przez lubą osobę. Wszedłem na ziemię przodków moich, ale czułem, żem był na obcym brzegu.

—ooooooo—

NAGROBEK BELLINIEGO.

Nagrobek ten wystawiony jest na cmentarzu Père Lachaise, między grobowcami Gretrego i Boieldieugo. Jestto pół-słupie, przed którém posąg alegoryczny stoi. Pół-słupie to piękną rzeźbą ozdobione, wyciosane jest przez pana Bluet. Na samym szczycie i z przodu znajduje się wizerunek Belliniego, a po trzech bokach, trzy dzieła oznaczające początek, środek i koniec jego artystowskiego zawodu: «Pirat, «

»Norma« i »Purytanie.« Pod spodem stoi napis: «Vicenzo Bellini, urodził się w Katanei w Sycylii r. 1807, umarł w Puteaux pod Paryżem 1835 roku; na powiérzchniach pobocznych znajdują się nazwiska innych sześciu przez niego skomponowanych oper: «*Bianca e Fernado*,» »*La Straniera*,» «*Capuletti ed Montechi*,» «*Zaira*,» «*la Somnambula*,» «*Beatrice di Tenda*.» Alegoryczny posąg dłuta pana Marochetti nie jest ani muzą ani téż jeniuszem, należałoby go raczéj aniołem muzyki nazwać, ma on bowiém na sobie owe niepewne znamię charakteru, pomiędzy jedną płcią a drugą, jaki tylko wyższym duchom przypisujemy. Anioł ten przedstawiony jest siedzący, owinięty w swe długie skrzydła— które się wznoszą nad jego głową i których ostatnie pióra rozpościérają się aż pod nogi i rąbek jego szaty. Smutną i pochyloną głowę jego otacza wieniec cyprysowy. Anioł ten przytula obiedwoma rękoma lutnię o swoję piers, jak ostatnie wspomnienie przyjaciela, za którym łzy ronimy. Posąg ten jest pełen przyjemności, tkliwego czucia i smętu, urzeczywistnia on doskonale ideę, jaką sobie tylko wystawić można o muzie Belliniego, która natchnęła go témi tkliwémi, załośnémi tony, w których taką doskonałość okazał.

ŻYDZI ŻOŁNIÉRZAMI
W INDYACH WSCHODNICH.

Armija w Bombaj składa się w znacznéj części z Żydów, bardzo mało mową, ubiorem i obyczajami różniących się od Mahrattów, między którymi tak dawno przebywają. Ci Żydzi indyjscy może ze wszystkich tamtejszych krajowców byliby najlepszymi żołniérzami, gdyby się nie oddawali nałogowi pijaństwa. Nie są oni tak dumni, ani tak niedołężni, jak Muzułmanie, nié mają także tak uciążliwych obrzędów, jak Hindowie. Po większéj części umieją czytać i pisać w języku Mahrattów, a wielu z nich umié także po hebrajsku. Z mocną budową ciała łączą pracowitość i czynność, (jakaż to różnica od naszych!) Ich niewiasty i dzieci mają najwięcéj ładne rysy twarzy.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.